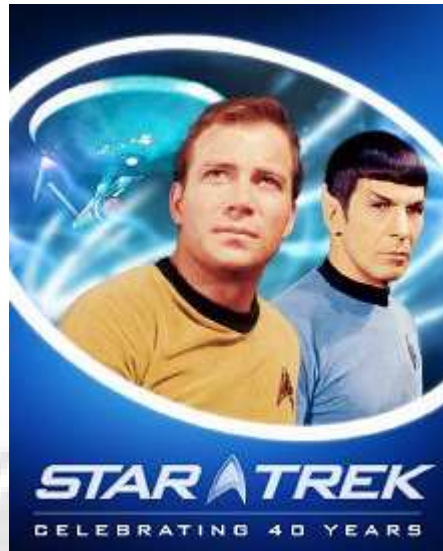


Tomasz 'Zagłoba' Tokarczyk



„Kosmos... ostateczna granica. Oto podróże statku kosmicznego Enterprise. Jego pięcioletnia misja, to badanie nowych światów, to poszukiwanie nowych form życia i nowych cywilizacji, aby śmiało dotrzeć tam gdzie nie dotarł jeszcze żaden człowiek!”

Lata 60' XX wieku to czas kulminacyjny wielkiego wyścigu kosmicznego. W 1961 r. Yuri Gagarin, jako pierwszy człowiek w historii sięgnął gwiazd i przybliżył ludzkość do ucieleśnienia jej odwiecznego marzenia – poznania kosmosu i tajemnic, jakie on skrywa. Zintensyfikowało to rywalizację pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim. Mocarstw, których to jedynym celem było stanięcie na Srebrnym Globie i dalszy podbój galaktyki (oraz przy okazji dokopanie rywalowi, ale to nieistotne ;)). Nie może, zatem dziwić, że błyskawiczny rozwój techniki oraz coraz nowocześniejsze i bezpieczniejsze statki kosmiczne, musiały oddziaływać na wyobraźnię społeczeństwa od najteższych umysłów na Ziemi po zwykłych zjadaczy chleba.



Do takich ludzi należy zaliczyć niejakiego Gena Rodenberry'ego. Amerykanin urodzony w El Paso, w stanie Teksas, nie był może wielkim scenarzystą, ale miał wizję. Wizję utopijnego, XXIII-wiecznego społeczeństwa, które porzuciło błahe niesnaski i uprzedzenia, co doprowadziło do utworzenia Zjednoczonej Federacji Planet, wraz z innymi inteligentnymi i

pokoju nastawionymi rasami. Jej celem jest bezkonfliktowe współistnienie oraz dalsza eksploracja galaktyki. Dość niecodzienna i oryginalna wizją patrząc przez pryzmat tego, że w ówczesnych latach „Zimna Wojna” trwała w najlepsze, a zjawisko Apartheidu było czymś społecznie akceptowanym.

Właśnie to było głównym dążeniem serialu. Ukazywanie ówczesnym problemom ludzkości, odważne przełamywanie tematów tabu oraz rozstrzygnięcie problemów natury moralno-społecznej. Wszystko to zostało gęsto podlane smakowitym sosem science-fiction oraz dopełnione frapującym uniwersum stworzonym w umyśle Gena Rodenberry'ego. Odważny pomysł zdecydowała się zrealizować stacja NBC, wymuszając na autorze tylko kilka zmian w ogólnym koncepcie (więcej akcji, wątków miłosnych oraz efektów specjalnych).

Niestety pomimo nietuzinkowego scenariusza wyniki oglądalności nie były satysfakcjonujące. Skrzynki pocztowe oraz linie telefoniczne stacji emitującej serial były wręcz zalewane przez zde gustowanych i zirytowanych widzów, którzy domagali się kategorycznego zaprzestania emisji. Mimo to zdecydowano się na wypuszczenie kolejnego sezonu „Star Treka” w niezmienionej formie. Niestety godzina transmisji była tak mordercza (piątek wieczór, tak zwana „martwa strefa”), że słupki popularności i w tym wypadku nie powalały na kolana. Mimo wszystko serial zdobył całkiem pokaźną liczbę wiernych widzów, (co potwierdził pierwszy, oficjalny konwent „Star Treka” w 1972 r., gdzie spodziewano się garstki oddanych fanów, a pojawiły się ich tysiące).

Prawda jest taka, że „Star Trek” odżył dzięki działaniom skrajnych fanatyków, którzy organizowali przeróżne konwenty w wielu zakątkach globu, męczyli szefów stacji telewizyjnych prośbą o wypuszczenie powtórek, a także tworzeniem różnorodnych gadżetów związanych z serialem. Dzięki nim kosmiczna przygoda trwa do dziś (cztery późniejsze serie, plany tworzenia dwunastego filmu, multum komiksów oraz wypuszczanie kilkunastu książek rok rocznie na kawie „Star Treka”).



„Śmierć, zniszczenie, choroby, koszmar. Oto, czym jest wojna. Dlatego należy jej unikać. Wy uczyniliście ją czystą i bezbolesną. Tak czystą i bezbolesną, że nie macie powodów, by ją zakończyć od 500 lat. (...) Jesteśmy ludźmi, mamy na rękach krew z tysięcy lat barbarzyństwa, ale możemy to zatrzymać! Możemy przyznać, że jesteśmy zabójcami, ale dziś nie będziemy zabijać. To wystarczy. Świadomość, że nie będzie się zabijać.” – **Kapitan James T. Kirk**, „**A Taste of Armageddon**”.

Otwarcie przyznam, że moja wiedza o „Star Treku” ograniczała się właśnie tylko do tego, że wychowało się na nim amerykańskie pokolenie nerdów oraz o ich wręcz fanatycznym poświęceniu dla serialu. Może, dlatego specjalnie nie ciągnęło mnie do zapoznania się z dziełem, które wywarło ogromne piętno na gatunku science-fiction. W końcu coś, co było odkrywcze pod koniec lat 60', dziś zapewne jest już czymś mocno sztampowym i nieciekawym, a i stereotypy ciężące na tym tytule na pewno nie zachęcają do bliższego zapoznania się z nim.

Błąd! Zapewne żyłbym nadal w niewiedzy, gdyby nie telewizja Puls, która ponownie rozpoczęła emisję „Star Treka”. Jako że sezon wakacyjny jest martwy już chyba od czasów powstania telewizji i na reszcie ogólnodostępnych kanałów leciała taka sama chała („Czterej Pancerni i Pies”, kolejne powtórki „Na Wspólnej” oraz oczywiście niezapomniany „Kapitan Kloss”), postanowiłem zobaczyć na własne oczy, „czym się tak ludzie ekscytują”. Początkowo podszedłem do całej sprawy z politowaniem i liczyłem na niezły ubaw (ze scenariusza, aktorów czy scenografii). Jednakowoż po obejrzeniu jednego odcinka diametralnie zmieniłem zdanie.



Dlaczego? Gdyż "Star Trek" jest, piszę to z całą stanowczością i będąc zdrowym na umyśle, absolutnie genialny i współczesne pseudo-moralistyczne seriale mogą mu „buty lizać”. Dawno nie widziałem tytułu, który w tak sprytny i inteligentny sposób mierzył się z problematyką etyki, natury ludzkiej, sensu wojny, istoty uczuć, dualizmu człowieka, kwestii używek, rozwoju nauki czy wiary. Mimo, że scenariusz każdego odcinka jest dość szampowy (coś się spieprzyło i załoga wpada w tarapaty, jednak zawsze znajduje się sposób na ratunek, po wcześniejszym skopaniu kilku tyłków), to liczne zwroty akcji i pomysły scenariusza (wspomniane drugie dno, które pod koniec zawsze daje sporo do myślenia oraz sensacyjno-kryminalne tło) skutecznie tuszują ową wpadkę.

Czym byłby jednak ten serial bez znakomitych aktorów, którzy wcielili się w role członków załogi statku Enterprise? Na pierwszy plan wybija się oczywiście niezapomniany William Shatner, który wcielił się w postać kapitana Jamesa Kirka i słowo daje odwalił znakomitą robotę. Kirk jest człowiekiem wyrachowanym, silnym i zdecydowanym, który wymaga bezwzględnego szacunku od swoich podkomendnych. Z drugiej strony jest wrażliwy, ma styl i fantazje. Ponadto to osoba, która nie boi się podjąć trudnych decyzji i jest gotowa poświęcić własne życie, jeżeli w grę wchodzi dobro załogi oraz Federacji. Shatner znakomicie odegrał te cechy i przy okazji dodał aurę mistycyzmu, która czyni bohatera kimś zupełnie wyjątkowym. Oczywiście postać ma swoje minusy. Nadmierny optymizm oraz pewność siebie, impulsywność, dość frywolne podejście do kwestii „Pierwszej Dyrektywy” (zakaz ingerencji w sprawy inteligentnych ras), zbytne poddawanie się emocjom oraz oczywiście bujne życie erotyczne bohatera, które to niejednokrotnie wplątuje Jamesa w nieliczne tarapaty.

Ale kim byłby Kapitan Kirk bez Pana Spocka (Leonard Nimoy) oraz Doktora McCoya (DeForest Kelley)? Tym samym czym Trzynasty Schron bez Squonka ;) To właśnie dzięki nim powstało niezapomniane trio, które przeszło już do legendy science-fiction . Prócz dość często ratowania kapitana z kłopotów (albo wpadania w nie), wprowadzają oni niezbędny oraz inteligentny wątek humorystyczny. Ciągłe spory pozbawione emocji i kierujące się tylko logiką Spocka oraz porywczego McCoya, to coś, co niewątpliwie zapada w pamięć.



Skoro jestem przy omawianiu załogi mostka kapitańskiego, to warto tu jeszcze zwrócić uwagę na wytrwałość Rodenberry'ego, w swojej idealistycznej wizji świata przyszłości. Mowa tu o całkowitej tolerancji oraz zupełnym odrzuceniu stereotypów. Szczytne ideały oraz cele obrane przez Federację pozwoliły przezwyciężyć uprzedzenia i zmusiły wszystkich ludzi do kolektywnej pracy. Wierście lub nie, ale w latach 60' wizja wspólnej pracy człowieka białego (James T. Kirk), żółtego (Sulu), murzynki (Uhura) oraz Rosjanina (Pavel Chekov) była czymś szokującym i wyjątkowo abstrakcyjnym.

„-*To nie ma sensu.*

-*Oczekiwanie sensu od dwóch osobowości, z tak niezwykłymi punktami widzenia, jest nielogiczne.*

-*Ale ich planeta jest martwa. Czy to ważne, który miał rację?*

-*Ani Lokai ani Bele. To co w nich zostało, to ich nienawiść.*

-*Sugeruje pan, że to wszystko co mieli, sir?*

-*Nie. Ale jest to wszystko co im pozostało.*” - **dialog Sulu, Spocka, Uhury i Kirka, „Let That Be Your Last Battlefield”.**

Oczywiście serial nie jest ósmym cudem świata. Obok odcinków, które są emocjonujące i dają ostro do myślenia, pojawiają się takie, w których nie dzieje się absolutnie nic, a i wspomnianego przekazu czy morału nie uświadczymy (w te obfituje niestety sezon trzeci). Niektórych też może razić tandetna i plastikowa scenografia, przyprawiające o uśmiech kostiumy (przede wszystkim te gumowe i obcisłe stroje), efekty specjalne (wszelakie ujęcia statku od zewnątrz, strzały Fazerów) oraz amatorszczyzna niektórych aktorów (w szczególności tych, którzy odgrywają „gościnne” role) - choć jak dla mnie to dodaje dodatkowego uroku "Star Trekowi" ;) Poza tym czepiać się tego wszystkiego absolutnie nie wypada, gdyż co dziś przyprawia o rubaszny śmiech, w dniu premiery był czymś wyjątkowo nowatorskim i przyprawiającym o chęć bicia pokłonów przed twórcami.

Dobra... wszystko pięknie, ładnie – tylko co ma „Star Trek” wspólnego z tematyką Trzynastego Schronu? Otóż całkiem sporo, bo odcinków, których tematem przewodnim jest postapokalipsa istnieje kilka, a co drugi odcinek zawiera przeróżne smaczki zawierające elementy klimatów. A to załoga musi szukać lekarstwa dla kolonii, w której umiera cała roślinność (brak roślinności = brak tlenu = śmierć populacji). A to musi zmykać z planety, w której niebezpiecznej bliskości nastąpi wybuch supernowej. A to Dr McCoy poszukuje antidotum dla całej załogi, która zapadła na tajemniczą i nieznaną chorobę. Nie wspomnę już o przeróżnych świrach z wybujałym ego, którzy chcą wprowadzić erę terroru do galaktyki, czy widma wojny z Imperium Klingońskim.

Podsumowując - gorąco polecam, bo jeszcze raz się przekonałem, że zanim się coś oceni, trzeba to najpierw ujrzeć. Nie dajcie wiary stereotypom! To wyśmienita rozrywka na wysokim poziomie i jeżeli tylko zaciśnięcie zęby na kilka mankamentów, to zaiste zostanieie wynagrodzeni. Zasiadając na wygodnym siedzisku i puszczając kolejny odcinek serialu

pamiętajcie tylko jedno – „Star Trek” to nie świst fajerów ani spektakularne efekty specjalne. Nie... to niezapomniana podróż w głąb galaktyki, gdzie czają się tajemnicze oraz inspirujące cywilizacje oraz odpowiedzi na kluczowe problemy natury moralno-społecznej.

PS. Taka dygresja na koniec. Zapewne zastanawiacie się dlaczego serial jest tak popularny na świecie (w samych Niemczech na konwenty zrzeszające fanów przychodzi tysiące ludzi), a w Polsce jest prawie zapomniany i wręcz pogardzany. Otóż winne są temu dwie rzeczy – socjalizm oraz głupota polskich stacji telewizyjnych. Z oczywistych powodów Oryginalna Seria nie mogła być ukazana w Polsce tuż po swojej premierze w wrześniu 1966 r. Naszym czerwonym towarzyszom oczywiście nie podobało się to co zostało stworzone przez zachodnich kapitalistów. Pierwszy debiut „Star Treka” miał miejsce dopiero w 1990 r. Niestety odcinki serialu były puszczane dość frywolnie (puszczano kilka odcinków, po czym je powtarzano, a następnie wstrzymywano emisję na kilka miesięcy) i emitowany był w godzinach gdzie na wszystkich stacjach oglądalność jest znikoma (np. w piątki o 10 rano). Nie pomagało też słabe rozreklamowanie serialu i nie przyciągające oczu efekty specjalne. Pierwszy filmem puszczonej do ogólnej dystrybucji, była dopiero siódma część, czyli „Star Trek: Pokolenia”, która w połączeniu z nieznaną serialu zaliczyła klępkę marketingową. Szkoda...

Spis odcinków ,których tematem przewodnim są kilmaty apokaliptyczne:

Odcinek 9 – „Miri” – *załoga Enterprise trafi na planetę, gdzie szaleje wirus, który powoli zabija wszystkich dorosłych, zostawiając przy życiu jedynie dzieci.*



Okazuje się, że zabawa w boga jednak nie popłaca, bo mieszkańcy sami sobie zgotowali taki los poprzez różnorakie eksperymenty genetyczne.

Odcinek 24 – „A Taste of Armageddon” – *apokalipsa w „białych rękawiczkach”. Kapitan Kirk otrzymuje misję nawiązania kontaktów dyplomatycznych z dwoma planetami, wojującymi ze sobą blisko 500 lat. Po początkowym zaskoczeniu (brak zniszczeń, radiacji czy śladów eksplozji) załoga dowiaduje się prawdy. Otóż wojna jest prowadzona wirtualnie przez komputery. Miejsca ataku precyzyjnie wyliczone, a starty w ludziach dokładnie wyliczone. Sęk w tym, że „ofiary” ataku w ciągu dwudziestu czterech godzin mają obowiązek zameldowania się w „komorze dezintegracyjnej”, gdzie zostaną humanitarnie zabite, a ich starty zarejestrowane przez komputer.*



Ciekawe ukazanie bezsensu wojny oraz skutku obdarcia jej z najgorszych mankamentów – bólu, zniszczeń oraz strachu.

Odcinek 29 – „**The City on the Edge of Forever**” – z klimatami to on ma może niewiele wspólnego, ale za to z serią *Fallout* już tak. Czy poniższy obrazek coś Wam przypomina?



*Oczywiście! To portal do przeszłości, czyli jedna ze specjalnych lokacji zawartych w drugiej części *Fallouta*.*

Swoją drogą – sam odcinek świetny. Znakomicie pokazuje, że nawet kosmetyczna zmiana w przeszłości, choćby nie wiadomo jak dobra (uratowanie krystalicznie dobrego człowieka przed bezsensowną śmiercią), może mieć katastrofalne skutki w przyszłości.

Odcinek 36 – „**The Domsday Machine**” – w tajemniczych okoliczność w galaktyce pojawia się tajemnicza broń „*Zabójca Planet*”, który przemierza kosmos i niszczy każde życie, które stanie mu na drodze. Kapitan stawia hipotezę, że zabójca jest bronią ostateczną, która nigdy nie miała zostać użyta.



Odwołanie do klimatów zimnowojennych, aż nazbyt widoczne.

Odcinek 50 – „**The Immunity Syndrome**” – Galaktyka jest zagrożona przez tajemniczy rodzaj kosmicznej ameby, która wchłania pobliskie systemy gwiazdne i pożera zawartą w nich

energię. Załoga „Enterprise” ponownie jest ostatnią deską ratunku dla zagrożonej Federacji i stara się znaleźć wyjście z kryzysu.



Odcinek 55 – „The Omega Glory” – załoga penetruje sojusznicy statek gwiazdny, który dryfuje na orbicie planety Omega IV- niegdyś siedziba wysoko rozwiniętej cywilizacji, dziś jałowa planeta zamieszkiwana przez dzikusów, potomków ludzi, którzy przetrwali nuklearny holokaust. Okazuje się, że statek ten jest całkowicie opuszczony, a jedyny ślad po niegdysiejszej załodze, to porozrzucane mundury Floty i znajdujące się obok nich sypkie kryształki. Badania Dr McCoya potwierdzają, że kryształki soli, to tak naprawdę pozostałości po personelu, który zabił tajemniczy wirus odparowujący wodę z organizmu. Jedynym ratunkiem dla zakażanego zwiadu jest zejście na powierzchnię planety, której atmosfera, z niewiadomych przyczyn, oferuje naturalną odporność na wszelakie choroby.



Znów odwołanie do klimatów zimnowojennych, ciekawa wizja wojny nuklearnej i jej późniejszych skutków. Troszeczkę za dużo w tym odcinku amerykańskiego patosu, ale do przelknięcia.

Odcinek 56 – „Assignment: Earth” – „Enterprise” cofa się w czasie, ażeby zbadać jak ludzkość poradziła sobie z problemami 1968 roku. Przez przypadek na statek trafia tajemniczy przybysz z kosmosu - Gary Seven, który uważa, że tylko on może powstrzymać ludzkość przed nuklearną zagładą.



Odcinek niestety nudny jak „flaki z olejem”...